



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych  
po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;  
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta  
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-  
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

### Na „Campo Santo Nuovo“

(W MEDYOLANIE.)

**K**raino sztuki, jasna, biała!  
Marmurów kształty cudownemi  
Potęga życia zmartwychwstała  
Z grobowych ciemnie twojej ziemi.

O! w rzeźb marmurach tych wyrity,  
Duch minionego odżył świata,  
A z tchnieniem piękna w wyż, w błękity  
Tęsknota zrywa się skrzydlata.

Na twoich grobach są łzawnice,  
W które rozpaczy łza upada;  
Posągów ciche patrzą lice,  
Jak żywa twarz boleści błada.

O! świątyniami twe mogiły  
Pamięci świętej strzegą znicza...  
Ty nie masz grobów, coby były  
Jak pierś zapadła, suchotnicza.

Nad tobą anioł piękna stoi  
I wieńce z kwiatów natchnień plecie—  
Więc na mogiły dziatwy swojej  
Czarownej sztuki rzucasz kwiecie.

Miłość śle grobom twarz natchnioną...  
Co najlepszego dać im może  
Twe kochające matki łono,  
Tem im śmiertelne ściele łożo.

Niebo tu ziemi dłoń podaje,  
Więc ze czcig ziemską stąpa noga...  
W te ludzkiej sztuki cudne kraje  
Zstąpiło żywe tchnienie Boga.

Modlitwo! piękno masz za posła...  
Chyba najmilej Pan cię słucha,  
Boś ty z gorących serc wyrosła,  
Boś z natchnionego wyszła ducha.

Błogosławieństwo szepcesz, Chryste!  
I promienieje twarz Twa błada,  
Gdy sztuki piękno wiekuiste,  
Do Twoich krwawych stóp przypada.

Antoni Pilecki.

### POGA WĘDKA

Jeżeli od kogo, to najwięcej od kronikarza, czytelnicy domagają się nowości. On to, ażeby nie być nudnym, powinien wszelkie objawy codziennego życia w lot chwytać, zachowywać je w pamięci, notować na papierze, by następnie podzielić się niemi ze słuchającymi go chętnie słuchaczami. Na pozór, niby to praca niewielka: wszystko zdaje się być gotowe na usługi sprawozdawcy, boć życie wartkim strumieniem się toczy, czego zaś sam niedopatrzył lub dostrzedz nie mógł, to w tem mu z pomocą przychodzą pisma codzienne, które najszczegółowiej podają do wiadomości ogółu to, co było, jest a nierzadko nawet i—co będzie. Zatem, panie gawędziarzu, spełniaj przyjęty na siebie dobrowolnie obowiązek, bo, gdy grzybem nie jesteś, nie leż do kosza.

A jednak?...

Pomimo niewielkiego na pozór trudu i pomocy pism codziennych ten grzyb częstokroć w niemałym kłopotcie się znajduje. Niby to życie wartkim strumieniem się toczy, ale nie wszystko można ująć, nie wszystko wypowiedzieć. Wiele więc rzeczy w zanadrze się chowa, i te częstokroć bywają lepszą częścią przez Maryę wybraną, te zaś, co się wam daje, jest kłopotliwem, szarem, jednostajnem zresztą—gospodarstwem Marty. Idzie się więc po ratunek do pism: to samo gospodarstwo. Czytamy w wiadomościach z chwili bieżącej o deszczu, który parokrotnie w ciągu jednego dnia ziemię pokropił, o nowej sztuce w teatrze, która nie wzbogaciła naszego repertuaru, o zapowiadzanym koncercie sympatycznej zawsze Lutni, dalszym ciągu kanalizacji syreniego grodu, czasami senne wspomnienie o Eusa-



pii gdzieś się zabłąka, albo, grubą mgłą niewyraźnych marzeń owiane, błysną nad brzegiem Wisły pogrzebane od dawna bulwary. Materiału dużo jest pod ręką, lecz z niego nawet uczciwego biega na niedbalców w ojczyściej pisowni skrócić nie można.

A cóż to za skok? spytacie—żkąd to porównanie? gdzie są ci, na których wymierzona groźba została?

Niestety! przypominają się nam oni ciągle, a tak szczerze pragnęlibyśmy o nich raz na zawsze zapomnieć; przypominają nam się oni ciągle wiele razy zajrzemy do, nawet poczytnych bardzo, pism codziennych.

Ś. p. Aleksander Walicki, pisząc doskonałą książkę swoją: O błędach w mowie i piśmie popełnionych, która już kilku doczekała się wydań — z pewnością zasłużonego spokoju w grobie niema. Był czas, kiedy owa pocziwa książeczka zajęła tych nawet, którzy wiedzieli, że pisać umieją, inni zaś, mając o sobie dobre w tym względzie mniemanie, przez wrodzoną człowiekowi ciekawość zajrzeli do niej i — z wielkim zdziwieniem może, przekonali się, że tak pisać, a tak mówić nie wypada. Szczególnie pisma codzienne przeszły przez ostrą różgę autora.

I nastąpił czas rzetelnej poprawy.

Ale... Pamięci ludzka, dla czego trwasz tak krótko?..

Czy dawny nałóg powrócił, czy karygodne niedbalstwo nowych panów dziennikarzy, mniejsza! ale przypomnieć się im godzi o zapomniane już snadź książeczce ś. p. Aleksandra Walickiego. Rozumiemy dobrze, że pośpieszna robota dziennikarska, częstokroć ze stylistyką stanowiącą rozbrat wziąć musi, że korekta prowadzona w nocy nieposzlakowaną być nie może, że mogą się zdarzyć opuszczenia, zawile zdania, zły dobór słów i tak dalej i dalej — to wszystko, znający tę gorączkową dziennikarską pracę, wybaczą łatwo, ale płażem puścić nie mogą błędów, których źródłem jest niedbalstwo o język własny. Są wstępne wyrażenia obce stanowiąc językowi naszemu, przyjęte nie wiadomo dla czego, podczas, gdy doskonale je swojskimi wyrazami zastąpić można, które zresztą z dobrym jak dotąd skutkiem, zastępowane były. Cóż to za piękny, na przykład wyraz: ta *branża* przemysłu? Z wielką ochotą przemieniłbym ją w naszą gałąźkę... brzeziny, w celu — łatwym do domyslenia się. Ta *branża* jednak stale się powtarza; czyta dziennik pokojówka, stróż w bramie i patrz... zaczynają mówić o *branży*. Druga obrzydliwość językowa rozgospodarowała się jeszcze szerzej i do najpoważniejszych pism się przedarła tak dalece, że nawet stylowi wykwinutisze obejść się już bez niej nie mogą. Przyzwyczaili się tak już do tej obrzydliwości, że ona im się wydaje najczystsze ziarno pszenicy uszczęknietem z rodzinnego zagona. Nasze pocziwe, a bardzo stare i bardzo dobre: *przeto* — wypędzone zostało przez: *jako takie* — które do nas gdzieś z nad Sprewy przyszło i tak się zakorzeniło, że chcąc je zamienić przez wyraz swój, z tym ostatnim nie umiemy już dać sobie rady i nie wiemy nawet w jaki sposób on owe śliczne *jako takie* zastąpić może. Słowem nie umiemy go użyć. Jest i inny błąd jeszcze, popełniany rzadziej ale dość często jednak, ażebyśmy nie mieli o nim tu wspomnieć. Jeden z politycznych sprawozdawców bardzo poczytnego dziennika stale *wątpi w dobre zamiary* pana Crispiego, ja zaś wiele razy podobne sprawozdanie czytam, pozwalam sobie stale wątpić o dobrej znajomości ojczystego języka, którym pisze pan Y. Wytlomaczyć podobnych błędów, ani pośpiechem, ani nową korektą nie można.

Ot — i zajrzałem do paru dzienników, by z nich zaczerpnąć coś do pogawędki z wami, łaskawie czytelnicy — i — szczerze mówię, wolałbym tam odnaleźć nowe jakieś sprawozdanie o Eusapii, albo senne marzenie o bulwarach nad Wisłą, niż takie perełki z *branży* językoznawstwa. Panowie wydawcy, nie żałujcie nakładu na czwarte czy piąte wydanie książki ś. p. Walickiego i w wystawowych oknach sklepów waszych na pocztę wystawcie ją miejscu.

Muszę tu poprawić mały błąd mimo woli popełniony w przeszłej pogadance z wami. Wspominając o koncercie Niemców, który się odbył, przeważnie, pod dyrekcją p. Danysza, dałem p. Danyszowi imię Karola, gdy on nosi piękne, słowiańskie Kazimierza imię. O tę poprawkę sam artysta żądał, śpieszę więc zadość prawdziwie uczynić.

Rok bieżący nie mało nam poważnych strat przyniósł. Z szeregów dziennikarskich ubył do brze na tem polu zasłużony Władysław Olendzki, do zimnego łona swojego przyczepił ziemia profesora Krakowskiej Akademii Józefa Lebkowskiego, który z troskliwością iście synowską czuwał nad archeologicznymi zabytkami starego grodu, pożegnał też i ziemię Cieszyńską Bogumił Hof zbieracz pieśni i podań szlaskich. Znane są ich zasługi i pracę, nie prędko ich groby pójdą w zapomnienie — o zgonie ich każdy wiedział, jak wiedział i o życiu.

Ale oprócz tych działaczy, którzy imię swoje zapisali drukowanymi czcionkami, są i inni pracownicy w winnicy Pańskiej, żyjący cicho, i z tej ziemi odchodzący z lekkością mgły porannej. Mgła znika i widzimy na trawach piękne, duże perły orzeźwiającej rosy. Piękne! mówimy — zapominając o mgle, która się na nich skropliła.

Do takich mgieł znikających, zapomnianych, cichych, niewiadomych żkąd przyszły i kiedy odeszły, należy Emilia Waśkiewiczówna. Czyny jej, jako nauczycielki w domach prywatnych i pensjonatach, nie były znane ludziom. Bo choć do serc i głów powierzonej sobie dziatwy rzucała się zdrowy, choć kształciła umysły i uczucia, choć niejedno ziarno jej ręką zasiane z latami dorodny, piękny kłos lub kwiat wydało: będziemy zachwycać się wonią kwiatu, mówić o pożyteczności kłosa — ale któż wspomni o siewaczu czy ogrodniku? Ś. p. Emilia szła wzorem wskazanym jej przez Boskiego Mistrza z Nazaretu. Życie jej było jednym pasmem trudu, miłości i poświęcenia. Gdzie potrzebowano słów pociechy, szła z tem słowem, gdzie trzeba było czynu, nie zawahała się słowa w czyn zamienić. Skromna nauczycielska jej praca, przynosiła jej niewiele lecz i tem dzieliła się z mniej mającymi. Czując zbliżającą się śmierć — rozdała resztę oszczędności.

Kiedy umarła, gdzie spoczęły jej zwłoki — zapomną ludzie bardzo prędko; kto wie czy długo o niej ci nawet pamiętać będą, którym oddała wszystkie skarby swej duszy i serca. Jasność umysłu, siła przekonań, szlachetność uczuć, jakimi może poszczycą się kiedyś przed światem, wezmą za dar od natury im dany, przypiszą to zresztą samym sobie tylko, zapominając, że był ktoś za nimi, który ich krokami kierował, że stał ktoś nad nimi i rzucał złote blaski na ich promienne dziś czoła.

Ta cicha praca bez rozgłosu za życia, bez wspomnienia za grobem, ma coś dziwnie rzetelnego i smutnego zarazem w sobie. Jest to zaparcie się tak wielkie, którego — bodaj, czy świat dzisiejszy zrozumie. Dla was to — nieznane pracownicy i mgły ciche — to wspomnienie moje i szczerza łza żalu!

Szybko dni płyną i ani spostrzeżliśmy, jak post przeszedł, jak niebo z posępnych chmur się rozkryło, prastara wiosenka do okien naszych kołata a w domu coraz gwarniej i świąteczniej się robi. Działwa otacza nas i upomina się o jajka kraszone.

A — to Wielkanoc!...

Tak szybko...!

Rozpoczęła się wędrówka do grobów, doroczna kwesta w kościołach. Budzą się wspomnienia lat dziecinnych, niezatarte nigdy w pamięci oczekiwania Wielkiego Świąta. Rokrocznie się to powtarza i choć się serce zestarzeje, na głowie włos srebrne nici przeplotą, rok rocznie z niemniejszą wiarą, z niemniejszym drżeniem wnętrza oczekujemy Świąta tego. Jeśli znużyłem was kiedy ga-

wędka — wybacze! Przyjmijcie życzenia Świąt dobrych — nie rozstajemy się na długo!

??

## O PRAWDZIWEM WYKSZTAŁCENIU

przez

Wł. M. Kozłowskiego.

(Dokończenie).

Do wykształcenia w powyższym znaczeniu należy wszystko to, co rozszerza widnokręgi umysłowe, co doskonali i podnosi myśl, co uzupełnia wiedzę. Przedewszystkiem w zakres jego wejść powinny te dzieła, w których myśl ludzka podniosła się do najwyższej doskonałości — a więc tak zwane *dzieła klasyczne* <sup>1)</sup> wszystkich czasów i narodów.

Na tem stanowisku stoi i wyżej przytoczony autor, gdy powiada: „to wykształcenie najlepszym jest w każdym czasie, które wchłania wszystko, co tylko najlepsze, ludzie pomyśleli i przekazali potomności” <sup>2)</sup>, — a w zupełnej z tem harmonii zostaje następujące określenie pisarza klasycznego przez Sainte Beuve'a: „Pisarz który wzbogacił ducha ludzkiego, który zwiększył istotnie jego skarby, posunął go o krok naprzód; pisarz, który odkrył niedwuznaczną prawdę moralną lub wniknął w głębie serca ludzkiego, odkrywając w niem nieznana dotychczas a odwieczną namietność; pisarz, który nadał myślom, spostrzeżeniom i odkryciom swoim formę, mniejsza o to jaką, lecz wielką i szeroką, ścisłą i zrozumiałą, zdrową i piękną, który, przemawiając w swoim właściwym stylu, zawarł w nim jednak styl każdego, styl, co jest zarazem stary i nowy i pochodzi ze wszystkich stuleci, taki — pisarz jest klasykiem.”

Z tego tak charakterystycznego dla ośmnastego wieku *indywidualistycznego* pojmowania wykształcenia płynie idea encyklopedyi, która jest zebraniem i uprzyścipleniem dla wszystkich wiedzy, oraz myśl *biblioteki powszechnej* Aimé Martina, która jest tylko pogłębieniem i rozszerzeniem pierwszej.

„Gdy w XVIII w. Diderot powziął plan Encyklopedyi nie mniejszego nie miał na myśli jak wzniesienie pomnika pomiędzy przeszłością a przyszłością, na którym byłaby wypisana cała przeszłość. Wielki to pomysł, nie tak jednak wielki jak myśl biblioteki powszechnej. Diderot streszczał w porządku alfabetycznym odkrycia naukowe i sposoby techniczne, i systemata filozoficzne; my podobzamy do wydawania dzieł oryginalnych zawierających to wszystko. Encyklopedia jest niejako spisem rzeczy naszego księgozbioru.” <sup>3)</sup> Jakież będą te dzieła? Znowu wybór arcydzieł, książek pomnikowych w dziejach myśli ludzkiej.

„Przebiegając długie galerie naszych bibliotek zrobimy wybór z milionów tomów pisanych o wszystkich przedmiotach we wszystkich czasach i w rozmaitych językach, tych nielicznych dzieł, które uświęcone zostały przez geniusz i przez czas. Liczba nieznaczną, jeśli ją porównamy z temi masami tomów *in-folio* i *in-quarto*, które czas skazał na śmierć a robaki toczą na półkach, jak trupy w grobach; ogromna — jeśli policzymy zawarte w nich idee, zasady przez nie wygłoszone, gdy zmierzmy olbrzymią siłę rzutu, którą może nadać ludzkości suma zebranych w nich światła” <sup>4)</sup>.

Tej samej idei — zebrania dzieł wyborowych czyli

<sup>1)</sup> Wyraz ten użyty tu jest, oczywiście, nie w znaczeniu pewnej szkoły estetycznej (jako przeciwstawnej romantyzmowi), lecz jako znamię wartości dzieła.

<sup>2)</sup> Schönbach, l. c. str. 64.

<sup>3)</sup> L'Aimé-Martin *Plan d'une bibliothèque universelle*, str. 28.

<sup>4)</sup> L. c. str. 29—30.



klasykcznych hołdują wszystkie wspomniane już tanie wydawnictwa, o ile nie są seryami podręczników elementarnych.

Myśl też ta jest zupełnie poprawna. Człowiek wykształcony tem się różni od niewykształconego, że doświadczenie minionych pokoleń nie jest dla niego tylko pustem brzmieniem, nagromadzone przez nie skarby wiedzy — martwym kapitałem, twory geniuszów — zapomnianym i niezrozumiałym zabytkiem przeszłości. Aby iść dalej, powinniśmy przede wszystkim wiedzieć, jaką drogę przebyła już Ludzkość; ażeby budować wyżej, powinniśmy się oprzeć na podwalinach już wzniesionych. A właśnie wytknięcie tej nowej drogi postępu, kierownictwo tą dalszą budową gmachu cywilizacji, przypada na udział ludzi wykształconych, na udział intelligencji.

Ale takie wykształcenie, zostające na niedościgłych wyżynach wiecznych prawd, odrywa człowieka od gruntu, na którym wyrósł od czasu, w którym żyje, unosząc go w jakąś daleką i zimną krainę wiedzy i piękna. Nie samo jednak zadość uczynienie potrzebom wiedzy i kontemplacji stanowi zadanie człowieka, gdy człowiek jest w pełni swych sił żywotnych. Przeznaczeniem jego jest wieść życie czynne; obowiązkiem zostać użytecznym członkiem swego społeczeństwa. Jeśli dla młodzieńca zaczynającego wykształcenie najlepiej jest gdy jakiś czas bawi na tych kryształowych szczytach czystej i oderwanej wiedzy, idealnego i nieskalanego technieniem rzeczywistości piękna, to budząca się w nim dojrzała energia czynu każe mu rychło je porzucić a zbyt długie w nich przebywanie zagraża zgnuszeniem i osłabieniem woli, wyrabiając typ beużytecznego i jałowego sybaryty duchowego.

Aby zadość uczynić tym nowym wymaganiom, wykształcenie powinno nie tylko rozwinąć formalne władze ducha, nie tylko wzbogacić umysł w skarby nagromadzone przez geniuszów wszystkich czasów i narodów, ale uczynić go także wrażliwym na zagadnienia życia bieżącego, *uświadomić go* — z *encyklopedycznego*, dającego rozmaite wiadomości o świecie i człowieku, o dziedzinie przyrody i dziedzinie ducha, powinno stać się *syntheticznym*, t. j. spoić te wiadomości w jeden całkowity pogląd na świat, wyrobić przy ich pomocy przekonania, któremi mógł człowiek kierować się w życiu praktycznym.

Większość ludzi, nawet wśród tych którzy zaliczają siebie do wykształconych czyni ze świadomości swojej tak ograniczony użytek, że z trudnością można ich zaliczyć do świadomych siebie. Życie ich składa się z szeregu czynności, które tem tylko różnią się od ruchów manekinów, że rolę sprężyn pełnią w nich pewne władze duchowe, nie podnosząc się przytem bynajmniej nad poziom prostego mechanizmu. Całe ich postępowanie określone jest, bądź wyuczonemi przepisami, których podstawą jest „nie różnić się od innych“, lub też pociągającym wpływem przyjemności lub odrażającym — nieprzyjemności. Robią to wszystko, co pełnią inni ludzie ich wieku stanu, i otoczenia, dbając przedewszystkiem o to, ażeby ani w odzieniu, ani w mieszkaniu, ani w układności nie różnić się od innych i nie narazić się na przydomek „oryginałów“, — słowem: aby jak najmniej być *sobą*. Nie zaniedbują oni książek, bo do wymagań dobrego wychowania należy znajomość literatury, bo potrzeba umieć powiedzieć coś mądrego w salonie; ale to, czego nabywają z nich, zostaje zewnętrznym tylko umeblowaniem głowy, potrzebnym jedynie w dni świąteczne i nie a nie nie wpływa na postępowanie, które zachowuje wciąż charakter mechanizmu i rutyny. Czy możemy ich nazwać świadomymi? Czy przyznamy im jakieś przekonania?

„Wytwory okoliczności“, które ich urabiają, przechodzą oni przez życie, nie zostawiając po sobie śladu; jak pływające zabawki, którym dziecko przy pomocy magnesu nadaje ten lub ów kierunek, przerzucając się pod wpływem przypadku od jednego drobnego celu w życiu do drugiego, niczem z poprzednim niezwiązanego, i tylko przymus potrzeb życia i spełnianych dla ich zadowolenia obowiązków nadaje pewną, czysto mechaniczną jedność ich życiu.

Zadaniem prawdziwego wykształcenia jest wytworzenie pewnego celu w życiu, ku któremu skierowałyby się wszystkie cele pomniejsze; jest wytknięcie drogi do tego celu, świadomie i z namysłem obranego, krytyczna ocena środków ku jego osiągnięciu — podniesienia więc człowieka z roli igraszki okoliczności do roli pana nad niemi a podstawą ku temu jest krytyczne zbadanie siebie samego, swojej wiedzy dotychczas nabytej, swoich zdolności, upodobań i pragnień.

Na podstawie takiego zbadania dopiero młodzieńcze świadomie i rozumnie może *obrać sobie powołanie*.

„Wystawmy sobie, powiada Wilhelm Scherer, człowieka, który już w rózkwicie młodości doszedł do najwyższej świadomości siebie — badając stan i miarę swoich sił, starając się wykryć ku jakiemu zakresowi działalności pobudzają go naturalne uzdolnienia, poddając próbie pole życia, na którym chce wystąpić, wpatrując się w zagadnienia społeczne, oczekujące rozwiązania swego. Taki człowiek, zestawiając ogólny stan rzeczy ze swojemi usposobieniami i zdolnościami, dojdzie do wyboru i *ograniczenia* celów, którym gotów będzie poświęcić swe istnienie. Jeśli nie uległ złudzeniom, jeśli dojrzały sąd lub szczęśliwa intuicja dały mu poznać i ocenić siebie i otaczający świat, potrafi on wytrwaleścią zająć najwyższe stanowisko, jakiemu odpowiadają jego zdolności.“

Jeśli nie każdy znajduje się w tak szczęśliwym położeniu, aby we właściwym czasie ocenić swoje zdolności i wybrać najlepiej im odpowiadające powołanie, to i tak pozostaje mu jeszcze dość szerokie pole, na którym może zarówno doskonalić się sam jak również i spożytkować na rzecz społeczeństwa nabyte zasoby umysłowe.

„Nie ulega wątpliwości, że każdy człowiek oddany pewnemu powołaniu zmuszony bywa co dzień i co godzina do kompromisów pomiędzy zawodem swoim a najwyższymi zadaniami swego życia. Rzadko kto może całe swoje życie, czyste i nienadwątzone poświęcić Ludzkości. Lecz każdy powinien pamiętać o tych wyższych celach bądź to spełniając powołanie swoje w ten sposób, aby praca nie obracała się wokół mechanicznej rutyny, lecz wcielała się w wielkie zagadnienia czasu, służąc, im jak najlepiej z jaknajwiększą korzyścią — i to jest możliwe dla każdego; bądź też przynajmniej, poświęcając własnemu udoskonaleniu czas pozostający od pracy zarobkowej, a oddziaływając przy pomocy nabytych światła na koła najbliższe, aby tym sposobem przyczyniać się do podniesienia ogółu“.

Największym wrogiem doskonałości osobniczej i dobra ogółu jest gonitwa za karierą, tak rozpowszechniona wśród warstw inteligentnych społeczeństw ucywilizowanych. Jakże często się zdarza, że rodzice zawczasu już układają cały bieg życia dziecka według tego, jakie mają „stosunki“ lub „widoki“, posyłają je na medycynę lub prawo, stosownie do tego, gdzie mogą liczyć na protekcję i prędkie awanse, nie licząc się ani ze zdolnościami, ani z upodobaniami młodzieńca, który, nie czując zamiłowania do narzuconego mu zawodu, pozbawiony przytem pobudki, chociaż niższej, lecz zmuszającej do pracy dla powodzenia, gdy ma to powodzenie zapewnione, staje się niebawem zupełnym pasożytem społecznym. Osobliwe warunki osłabiły w znacznym stopniu karyerowiczowstwo i nepotyzm, a może nadały im tylko odmienny typ; zawsze jednak chlebobajność jest dla nas pierwszorzędnym czynnikiem przy obiorze powołania.

Oba stanowiska, z których zapatrywać się możemy na wykształcenie, prowadzą, jeśli nie do jednakowych, to przynajmniej do łatwo dających się pogodzić wymagań. Im doskonalszą jest jednostka, im wszechstronniej wykształcona, im wyższe stanowisko zajmuje jako indywidualum, tem lepiej i na liczniejszych polach potrafi być użyteczną dla społeczeństwa, tem głębiej będą sięgały jej wpływy, tem wielostronniej potrafi ona ogarnąć zadanie swego czasu i swego społeczeństwa, tem łatwiej

i doskonale je rozwiązać. Nie należy tylko w literaturze „klasykcznej“, stanowiącej niezbędną podwalinę wszelkiego wykształcenia humanitarnego, szukać schroniska przed życiem, nie należy zatykać uszu na jego gwar, zostawać obojętnym na jego wołania. Wszeludzkie i wieczne te podstawy połączyć powinniśmy z wymaganiami i potrzebami chwili bieżącej naszego pokolenia. A uczynimy to w sposób dwojaki: 1-go uzupełniając znajomość zdobytych dotychczas przez Ludzkość prawd wiedzy i wytworzonych przez nią dzieł sztuki, t. j. literaturę naukową i piękną w ścisłym znaczeniu, tą jej gałęzią, która służy za ogniwo łączące owe wieczne prawdy i czyste pierwowzory piękna z życiem praktycznym, t. j. publicystyką w najszerszym tego słowa znaczeniu, włączając w ten zakres wszystko — od powieści tendencyjnej do artykułu naukowego społecznego lub politycznego; a potrzeba uwzględnienia zagadnień doby bieżącej każe nam przebaczyć dziennikarstwu część jego grzechów względem wykształcenia a nawet wciągnąć w zakres czytelnictwa poważniejsze pisma peryodyczne.

Powtóre. w samych studiach naukowych i w ocenie utworów poetyckich powinniśmy mieć na myśli zagadnienia praktyczne, do których podążać winno nasze wykształcenie, czyli — obok stanowiska powszechnego i ogólnie ludzkiego powinniśmy zająć wobec nich stanowisko ludzi naszej epoki, spojrzeć na nie okiem współczesnym, a w tym celu mamy obowiązek zawczasu już sobie nakreślić plan studyów.

Jeśli więc stanowisko oderwanej wiedzy i czystego piękna każe nam ugrupować materiał wykształcenia według filozoficznego poglądu na całość wiedzy lub wymagań estetycznych, to stanowisko praktyczne każe nam znowu te dwa działy — literaturę piękną i dzieła naukowe — uzupełnić trzecim — publicystyką, a obok klasyfikacji, wynikającej z przedmiotów, umieścić inną, która za punkt wyjścia będzie miała praktyczne, ostateczne cele nauki w życiu.

## PIERWSZY WYSTĘP

NOWELLA

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

— Precz, szeptał, do ludzi z drogi przed ojcem aktora. Ojciec aktora idzie — słyszyście — i nie śmiejecie się?!

W miarę jak się zbliżał do sklepu Kosza opamnowywał go strach i wstyd... Czuł, że rumieńce palą mu twarz.

Gdy wszedł i witał się ze znajomymi, zdawało mu się, że ma napisane na czole: „ojciec aktora“, że ludzie widzą ten napis i litują się nad nim.

Przechodzącemu Koszowi szepnął, ściskając mu nerwowo dłoń.

— Interes wielkiej wagi, proszę cię o parę chwil.

— Przecie się nie pali, napij się piwa i zaczekaj aż się trochę przersedzi.

— Pali się, — rzekł rozpaczliwie ojciec aktora.

— Jeżeli się pali — chodź.

Otworzył drzwi swego pokoiku, weszli. Kosz siadł na krześle, wskazując buchhalterowi kanapę.

— Stary przyjacielu, nieszczyćście mnie spotkało.

Kosz się zerwał.

— Gadał!

— Syn mój..

— Ten ładny blondynek z niebieskimi oczyma..



— Jedynek, jedyna moja pociecha, celujący w szkołach — długa chwila milczenia — idzie na aktora!..

Buchhalter zęby nacisnął, żeby nie ryknąć, lecz broda i wargi mu drżały, a z oczu wytrysły dwa strumieniami łzy.

— Więc cóż? — zawołał stary żołnierz. — Jeżeli ma talent, to będzie służył lepiej, niż gdyby był koncepcistą, lub dependentem u adwokata.

— Prezydentem miasta, — chciał zawołać buchalter, lecz się w porę zatrzymał.

A jeżeli to będzie wielki talent, to będzie wielki pan! Książęta będą mu podawali ręce, hrabiny będą się w nim kochały. Nazwisko twoje zrobi się sławne a zawsze nie będzie zjadaczem chleba! Wiesz? że dobry teatr, to ambona, a wielki talent, to tyle co biskup. I płacz-że, że syn twój w dwudziestym piątym roku życia będzie biskupem, gdy w zwyczajnym toku spraw biskupami zostają starcy w siedmdziesięciu latach swego życia!

Wyjął z za szafy omszałą butelkę i nalał z niej do gotowych zawsze szklanek.

— Na powodzenie talentu twego chłopca! Niechaj będzie wielkim jak Żółkowski lub Królikowski!..

Zrozpaczony buchalter pił z namiętnością.

— Nie spodziewałem się, — ciągnął dalej Kosz — że twój syn taki zuch.

— Jaktó zuch?

— Nie poszedł utartymi drogami karyerowiczów. Uzuł w sobie iskrę Bożą talentu i usłuchał jej szeptów! Lubię takich, i teraz wierzę, że zjadaczem chleba nie będzie.

— Bo tobie, mój drogi, — odezwał się udobruchany urzędnik — jako radykałowi podobają się rzeczy nadzwyczajne, kiedy nam ludziom zwyczajnym...

— Podobają się zwyczajne. A cóż to nadzwyczajnego, że chłopak twój, mając talent, zostanie aktorem?

U nas jest ich dwudziestu, a we Francji dwadzieścia tysięcy. Co ma wspólnego radykalizm z aktorstwem. Pleciesz, stary niedołęgo.

Zastukano do drzwi.

— Wołają mnie — zerwał się stary żołnierz. — Przyszedł ci szynki i sera, wytrąb resztę buteleczny i idź spać. Jutro wstaniesz odmłodzony i pogodzisz się z nieszczęściem, które może być chwałą twojego imienia.

Kosz poklepał przyjaciela po ramieniu i wyszedł.

W trzy godziny później, wśród cieni nocy rozświecanej płomykami latarni, przesuwająca się chwiejnym krokiem przez ulicę Dytla, postać ojca aktora. Rozprawiał ze sobą, gestykulował, śmiał się zeicha i głośno wdychał.

Gramoląc się po schodach, wszedł do mieszkania: Stefa spała, Józia nie było.

— Wiesz co? — odezwał się do żony — Kosz mi powiedział, że aktor a biskup to wszystko jedno. Gdyby nasz syn, uważasz, nasz syn, matko — rozumiesz?!

— Rozumiem — przerwała.

— Gdyby poszedł do seminarium, to mógłby zostać biskupem, dlaczego nie?!.. ale w siedmdziesiątym roku życia — rozumiesz?

— Rozumiem — poświadczyła łagodnie.

— A jak zostanie aktorem, to może być biskupem aktorów, rozumiesz — w dwudziestym piątym. I będzie im sprawiał bierzmonowanie — lanie — rozumiesz?... Moja żono, cóż ja na to miałem mówić? Dziecko, pomóż mi ściągnąć surdut, bo mnie naprawdę z wielkiego bólu rozebrało... Twój syn jednak, biskupem aktorów?... Czyś się tego spodziewała? A nam, głupcom, zdawało się, że będzie prezydentem miasta?... Pocałuj mnie i otul, zimno mi, choć głowa pała, ciarki przechożdzą po plecach. Co powiedzą kolledzy? jak ja się jutro w biurze pokażę? Ale cóż? książęta mają go ścisnąć, a hrabiny całować. Tyś się z hrabiami nie całowała — prawda?..

— Cicho stary — ofuknęła go żona — nie pleć bezeceństw.

— Przepraszam cię, ale nie wiesz, co chciałem dodać: że można się nie całować z hrabstwem a być uczciwym człowiekiem.

Głowę przytulił do piersi żony i cicho płakał.

— Ależ zadrwił sobie z nas — szeptał. — Kochaliśmy go, pieścili, ja nawet miałem respekt przed nim... Okrutnie sobie z nas zadrwił.

Rozmarzony winem, zasnął na rękach żony.

Żona usnąć nie mogła. Długo modliła się przed obrazem Matki Boskiej, aby od niej odwróciła ten kielich goryczy.

\*

\*

\*

Już tylko trzech dni brakowało do pierwszego występu, trzech dni a dwu nocy. Dnie jak dnie, ale te noce długie, straszne, pełne gorączkowych widziadeł były najcięższe do przebycia! Aby je skrócić, Józio chodził do północy z kolegami po mieście, rozprawiał, zapalał się na zimno, deklamował: a mimo to strach szarpał mu serce i nerwy wstrząsał...

On stanie przed publicznością w wielkiej roli „Mazepy“, on będzie deklamował poezję Słowackiego wobec tysiąca oczu zwróconych na niego! I on to wszystko będzie robił za trzy dni i dwie noce!

Powtarzał sobie nieustannie, że nikt inny tylko on, jedynie on, gdyż skutkiem rozdrażnienia nerwowego zaczynała się w nim wytwarzać jakaś dziwna dwoistość.

Szczególniej podczas bezsennych nocy wydawało mu się, że on, Józek, maturzysta, jest zwyczajnym Józefem, który pożyczą swej postaci, głosu, gry komuś innemu, który się wyłania z jego mózgu i ciała — i działa za niego. Uczucie to dręczyło go, dwoistość prześladowała. Zrywał się rano, oblewał zimną wodą i wybiegał, pędząc nad brzeg Wisły.

Gdy się zobaczył sam, otoczony naturą i jej urokami, powoli sobowtór zniknął, artysta chował się za skórę maturzysty — i wszystko było dobrze, odpoczywał, wracając do równowagi. Lecz gdy znowu wstąpił w mury miasta, przekłeta dwoistość wracała.

Przy śniadaniu milczał, patrząc gorączkowo na matkę, ojca i Stefę. Schudł, skóra mu się na twarzy wydłużyła, nos wyciągnął, wargi zbladły, tylko dwoje oczu świeciło nienaturalnym fosforycznym blaskiem. Matka z ojcem porozumiewali się w milczeniu wzrokiem, bali się drażnić chłopca, przeczuwając, jakie go udręczenia szarpia.

— Tylko trzy próby. pozwalam na trzy próby; nie mamy więcej czasu. Młody debiutant powinien umieć swoją rolę na pamięć, a po trzech próbach nauczy się chodzić po scenie!..

Tak zawyrokował dyrektor nieodwołalnie; próby się zaczęły.

Otoczony starszymi kolegami, którzy mu okazali dużo sympatii dla jego młodości i zapachu do sztuki, jak znowu koleżanki dużo serca dla jego niebieskich oczu i złotawej gesty czupryny, czuł się swobodnym i pełnym otuchy, — dwoistość zniknęła. Na żarty odpowiadał żartami.

Reżyser był z niego zadowolony, ścisnął go za ręce i dla zachęty powtarzał: „Pokażemy światu, byle nie stracić głowy podczas batalii.“

W niedzielę rano w rodzinie młodziutkiego artysty śniadanie odbywało się w uroczystym nastroju i milczeniu... Stefa spoglądała na brata, gdy nikt nie zwracał na nią uwagi, matce wargi drżały, lecz panowała nad sobą, buchalter zmienił się w posag Kommandora.

Chłopak po wypiciu kawy zerwał się nerwowo, położył bilet do łoża parterowej przed matką, i nie mogąc dłużej już wytrzymać, runął z płaczem dziecka w jej objęcia. Ojciec wyszedł do drugiego pokoju, Stefa wyleciała na ulicę przeczytać afisz.

— Bylebyś tylko był szczęśliwy! — powtarzała matka, tuląc jedynaka. — My nie nie pragniemy dla siebie — nie — tylko twego szczęścia.

Chłopiec wśród pieśczęt utulił się, zwyciężył czułość i nerwy uciszył.

— Niech się mama do twarzy dziś ubierze, niech będzie ładną — prosił. Chce, żeby mama

dzisiaj była ładną... Jeszcze jeden uścisk, i nie śmiąc spojrzeć matce w oczy, nie czekając na jej odpowiedź, wybiegł.

Był w bramie, gdy usłyszał za sobą głos:

— Boratyński graj dobrze, bo cię wygwizdamy.

Obejrzał się: na schodach stała Stefa z afiszem w ręku i groziła mu, śmiejąc się.

— Mamo, Józio został Boratyńskim, tak jest wydrukowany: niech mama patrzy — i czyta.

Wyszedł z bawialnego pokoju ojciec, wziął afisz i zaczął czytać:

„Mazepa, tragedia w pięciu aktach, Juliusza Słowackiego. W roli Mazepy debiutować będzie po raz pierwszy: Józef Boratyński.“

— Józef Boratyński! A to ci sobie wytrzasnął nazwisko!.. I chwala Bogu — dodał ciszej, — że nie skompromitował mego i swego! Tem się stro-skany ojciec pocieszył.

— Pójdiesz z nami do łoży? — odezwała się błagalnie matka.

Buchhalter stał długo zamyślony; sprzeczne uczucia w nim grały. Wstyd i obawa przed biurowymi kolegami kazały mu nie pokazywać się, a ciekawość go pchała.

— Zobaczyć syna na scenie — szepnął i wdrygnął się.

— Będziesz siedział za nami, skryjesz się w ką-ciku łoży i nikt cię nie dojrzy.

— Nikt taty nie dojrzy — dodała Stefa. — W teatrze ciemno.

— Pójdę — rzekł — jeżeli z nami pójdzie mój przyjaciel Kosz.

— Niech go tylko tatuś zaprosi: poleci. Dlaczego nie miałby polecić? Czy to tatuś nie wie, co to jest „Mazepa“ a co Słowacki?

Buchhalter bardzo mało wiedział o jednym i o drugim i dlatego się obraził.

— Cicho! — zawołał — ona-by tylko do teatru latała, jakgdyby nie wiedziała, że ten teatr hańbę nam przynosi — głupia!

— Celestynku! to przecież dziecko, raduje się nadzieją zabawy.

— Piękna mi zabawa — przerwała Stefa — jeżeli trzeba będzie płakać od początku do końca.

— Kto ci mówił?

— Nauczycielka.

— I rozgadałaś? — zawołał ojciec.

— Co? — spytała, stawiając się, Stefa.

— Idź do Kosza, zaprosz go na dzisiaj do naszej łoży — przerwała sprzeczkę żona, głaszcząc męża po twarzy.

— Numer ósmy, na prawo, parterowa — wygłosiła Stefa.

Celestyn, chmurny, zły, z żalem w sercu na syna, oburzony na aktorów za kradzież dziecka, wyszedł. Omijał zdaleka afisze, nie śmiąc spojrzeć na nie.

Matka z córką zostały same. Stefa otworzyła szafę, matka, ocierając chustką łzy, wyjęła suknię popielatą jedwabną, zachowaną z wyprawy, tymczasem dziewczę rozkładało wspaniały szal turecki na kanapie.

— Jak mamusia wdzieje popielatą suknię i okryje się tureckim szalem, ludzie będą się gapić i dziwić. Mama po prawej stronie, ja po lewej, w środku Kosz z orderową wstążeczką!.. Tatusio schowany za portyere. Ale jak tylko Józio wyjdzie na scenę, wyjdzie i tatuś zza kotary.

Matka załamała ręce.

— Nie mam żadnego ubrania na głowę.

— Jeszcze czas, sklepy nie pozamykane, lećmy, mamo, na miasto. Wpadnę do Karasiów pożyczę lornetki, rękawiczki białe mam z egzaminu i różową wstążeczkę. Niech mama nie rozpacz: wszystko pójdzie dobrze. Wierzę w Józia i z niecierpliwością zobaczenia go nie mogę sobie rady dać. Jak ja wytrzymam do wieczora? zmiłuj się mamo, ratuj mnie!..

Wobec przygotowań do wieczornego występu, nie było czasu na rozpacz i żale. Spełniony fakt siłą swego istnienia — zwyciężał.

Józio poważnie kroczył przez ulicę miasta, zatrzymując się na każdym rogu, aby przeczytać afisz i nazwisko Józefa Boratyńskiego, wydrukowane dużymi czerwonymi literami. Gdy się na-



czytał i był syt pierwszego brzasku sławy, poszedł do Roszkowskiego zobaczyć ostatni raz przed wielką batalią kolegów.

Na górze było pusto; stanął w otwartym oknie, patrząc na ciemne mrowisko, snujących się po wielkim rynku ludzi.

— Czarny tłumie, bezmyślna maso, szukająca żeru, żyjąca żerem, czy się domyślasz, że za ośm godzin będę deszczem dla was, konchy, co się w bagnie taicie; będę burzą, abyście mogli raz podczas niepogody oczy otworzyć i z mej łaski zobaczyć błękit i niebo... Ja to zrobię, wykwitły kwiat na twem ciebie. Lecz żądam ciepła, zapachu i rosy twych łez. Głupi motłochu, ty nawet nie spojrzysz w moją stronę! Lecz cóżes ty winien, żeś zatracił w gonitwie za chlebem władzę przeżyć? Przebaczam ci i sprawię bal rozkosznych wrażeń, mimo twej wiedzy i woli. Dziś, za kilka godzin, poznasz mnie jako swego wybrańca, jako najszlachetniejszą cząstkę twego ogólnego mózgu.

Hałas na schodach ocucił go. Gromadą weszła młodzież. Po wesolych i zabawnych mowach, wystosowanych do kolegi-artysty, postanowiono pierwszy jego występ uczcić składkowym obiadem po osmdziesiąt centów od osoby i zaproszeniem biedniejszych kolegów na ucztę.

Propozycja przyjęta została z zapalem; Józio był rad, że ostatnie godziny, oddzielające go od wejścia na scenę, spędzi gwarno, wesoło, a piwem i winem zagłuszy naprężone nerwy.

Gromadka wśród śmiechu i żartów skierowała się na ulicę Wiślną do restauracji Majewskiego.

Tam obsiadła wkoło wielki stół; Józio zajął pierwsze miejsce; ucztę zaczęła.

Około godziny szóstej młódz z Wiślniej wkroczyła na Szewską, przeszła tłumnie Teatralną, żegnając przed drzwiami teatru kolegę szumnymi oklaskami.

— Nie bój się, my z tobą! — wołali za odechodzącym.

Józio przebiegł gorączkowo kurrytarze i po stromych schodach dotarł na górę.

— Cóż tak późno? bój się Boga? — przywitał go reżyser.

— Ucztowałem z kolegami — szepnął drżącym głosem.

— I pewno jesteś pijany?

— Byłem do tej chwili.

Reżyser spojrzał mu w oczy. Nerwowo rozszereżone żrenice, twarz o drgających mięśniach, przekonały go, że był tak trzeźwy, jak gdyby usta jego nie dotknęły się ani jednej kropli wina.

— Prawda — rzekł ze zwykłym mu pocziwym patosem — pierwszy występ cuć i trzeźwi! A więc za godzinę rozstrzygnie się twój los, paniezu. Albo jesteś z nami pięknym kwiatem ludzkości, albo spadasz w tłum i giniesz w jednej z ciemnych i dusznych izb zwanych biurami. Skup więc siły i walcz na śmierć i życie.

Józio siadł, nie mogąc ustać; fryzyer zaczął żelazkiem zawiązać mu włosy we wspaniałe karby, przed nim stanął reżyser i malował mu twarz.

— Oczy się świecą, lecz jak je jeszcze podkrajemy popielatą szminką, będą błyszczały jak gwiazdy.

Po kwadransie wszystko było skończone; chłopak się przejrzał i zdziwił swej piękności.

— A teraz kostium!

Nie miał siły się ubrać. Pomagali mu krawiec z fryzyerem. Reżyser w stroju wojewody, w kontuszu i złotolitym pasie, przy karabeli, chodził i rozprawiał dając ostatnie rady uczniowi:

Chłopiec, opanowany przez nerwy, nic nie słyszał. I znowu wystąpiła owa dwoistość i jęła go dręczyć. Patrzył w lustro i zdawało mu się, że paż jest inną postacią, której on się przypatruje, że to paż pójdzie na scenę, a on zostanie i patrzeć będzie na niego i jego grę.

— A „zbudź-że się, śpiochu“ — zawołał reżyser.

Chłopak się zerwał jakby uderzony iskrą elektryczną.

— Obróć się.

Usłuchał.

— Jeżeli nie pozawracasz głów wszystkim młodym pannom w teatrze, nie jestem reżyserem. A teraz spróbuj ostatni raz parę cię pałaszami ze Zbigniewem.

— Służę kolledze — zawołał Zbigniew, piękny młodzieniec, wysuwając się naprzód z dwiema szablami.

Józio pochwycił swoją. Opanował go dziki szal. Zdawało mu się, że jeżeli zginie w walce, nie będzie potrzebował występować na scenie. Rad był zginąć.

Po drugim złożeniu zaczął nacierać gwałtownie. Zbigniew się bronił i cofał.

— Stój, dosyć! — wołał reżyser. Wyjął z pochwy karabelę i wpadł między nich.

— A to co? — oszalałeś?

Obecni na górze aktorzy i służba — w śmiech! Feliksiewicz, któremu przypadła nieszcześliwa rola króla Ortodoxa, bił eicho bravo.

— Kolego! tu jeszcze mniejsza, — odezwał się Zbigniew, lecz gdy na scenie zaczniesz w ten sposób atakować?...!

Blady, z zamglonym wzrokiem, chłopiec wyciągnął na przeproszenie rękę.

— Nie wiem, co się ze mną dzieje — szepnął — przebacź!...

— Nerwy, — rzekł reżyser — znam ja je. Dziś pierwszy lepszy błazen choruje na nerwy: a cóż dopiero my artyści, żyjący samymi nerwami, fantazyją i pracą mózgu!...

Ze wszystkim można się ochrościć, tylko nie z bitwą i sceną. Ja stary aktor, ile razy wychodzę na scenę, żegnam się. Żegnali się również Żółkowski i Królikowski!...

— Panowie, za piętnaście minut zaczynamy — zawołał donośnym głosem ispięcent.

— Złotopióry paziu, chodź — dał rozkaz reżyser. Józio, uroczysty, z zasklonem oczyma stał na środku, patrząc rzewnie.

Koledzy go otoczyli ściskając mu ręce.

— Ja ci pierwszy przepowiedziałem, że będziesz artystą, — szepnął mu Feliksiewicz, gdy schodził na dół.

— Jesteśmy pewni, że ta pierwsza próba wypadnie świetnie i zostaniesz wśród nas, — odezwał się w imieniu kolegów Zbigniew.

— Zostaniesz, zostaniesz! — poświadczyli zebrani chórem.

Szczęść Boże, na nową drogę!...

Z tem błogosławieństwem zszedł Józio na dół.

Pierwsza na dole przywitała go Amelia.

— Mój paziu, mimo, że mnie zmuszasz do samobójstwa, że w tragedii jesteś mojem przekleństwem, przebaczam ci i życzę powodzenia na wstępie tej ciężkiej drogi.

— Jak nie pokpisz sprawy — dodała Kasztelanowa, — zrobię cię swoim czciszbejem, pamiętaj!...

Wojewoda ujął go za rękę, prowadząc na scenę.

— Spójrz przez otwór na tę hydrę o tysiącu głów, głupią i nudną. Otóż ona nas sędzi i ona wydaje wyrok.

Chłopiec patrzył na hydrę osłupiałym wzrokiem. W parterowej loży zobaczył matkę w popielatej sukni i tureckim szalu, bladą, smutną; obok niej, wyświeżonego Kosza, Stefę i ojca kryjącego się za portyera.

Żal mu się zrobiło matki.

— Gotowe? spytał głośno reżyser.

— Gotowe — odpowiedziano.

— Na swoje miejsca — zaczynamy!...

(Dokończenie nastąpi).

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

CXXX.

Irena, sztuka w 4-ach aktach, Stanisława Graybnera —  
Teatr Rozmaitości, d. 12-go Marca.

Dramat co się zowie napisał p. Graybner, i tylko przez skromność autorską nazwał go ogólnie „sztuka.“ W tej sztuce atoli wszystko od samego początku gwałtownie do dramatu poważnego leci, a grozą już tragiczną przejmując zakończenie. Życie jest najgenialniejszym dramaturgiem, i dlatego autor *Ireny* udratyzował w niej niedawną, ciepłą jeszcze przygodę zewnętrzną rzeczywistości. Jest to jakby reporterya sceniczna.

Karol Rodecki, obywatel ziemski (p. Leszczyński) już od lat kilku żyje w małżeństwie z Ireną (p. Marcello). Bóg im pobłogosławił i dał córeczkę Helenkę. Nad karkiem nie wisi żaden nakaz, nie znać kłopotów, nie widać ani lekarza ani kornika, i mogłoby być szczęście, gdyby nie dwie rzeczy. Pierwszą z nich jest zupełna płytkość umysłowa, opilstwo i brutalstwo pana, drugą nerwowość i uczuciowy nastrój pani. Dla Ireny mąż taki — to nędza, ale dla Karola taka żona — to przedmiot szczerej, choć jak i cała jego osobistość pospolitej miłości. Dla żony małżeństwo jest więzieniem: nie wystarcza jej już rozkosz macierzyństwa, znój pani domu, przyjemności towarzyskie. Wolności, wolności — woła — i na to wołanie zjawia się rzecz trzecia, najczęstsza w małżeństwach: przyjaciel męża, Kazimierz Ratyński (p. Ładnowski). Zнали się oboje wtędy jeszcze, kiedy ona była panną. Kazimierz był jej ideałem, ale, jak często bywa z ideałami — dostał się pod koła rzeczywistości: przecie, choć zmiażdżony, ożenił się — z siostrą Rodeckiego, Jadwigą. Tak blisko siebie będą — a jakże daleko! Przez lat kilka nie próbowali przepaści przeskakiwać. Dopiero w roku małżeństwa co najmniej piątym — jak wykazuje metryka sceniczna dziecka, stało się coś niedobrego. Oboje małżonkowie znaleźli się w swoim *fortissimo* — powszedniości gburowatej; ona — tęsknoty łaknącej. Skakać zatem! W końcu aktu I go żona opuszcza dom, zostawia nawet dziecko, jedzie do Lwowa i staje u arcypodejrzanej przyjaciółki Lucyny (p. Barszevska). Do ekspozycji należy jeszcze dwóch luzaków dramatycznych: poszukiwacz szczęścia, letkiewicz Adolf (p. Wolski), i poważny, czciciel ideałów, a lekarz z powołania, Henryk (p. Prażmowski); należał też i dziadzio Hieronim niańczący wnuczkę (p. Wojdałowicz).

We Lwowie miłość się pogłębia, rozżarza i kształtuje w *ultimatum* Ireny: wybieraj między mną a żoną. Kobieta odznacza się zawsze większą logicznością w miłości, prawej czy wiarołomnej, w tej drugiej nawet większą: kiedy kochasz, to się żeń. Ale Kazimierz ma żonę, istotnie dobrą, wyższą o wiele nad poziom kobiet, prztem, jeżeli wiarołomstwo same jest słodkiem, logika jego, zwłaszcza przy zdwojonej nieprawości, ma smak gorzki. Będzie rozgłos, będzie zgorzsenie, będą przedtem krwawe i niezaszczytne przejścia, a tu pod wulkanem nagle wybuchającym serce podawnemu jeszcze kryje cichy potok głębokiego uczucia, wzmocnionego przez cześć dla Jadwigi jako dla człowieka. Uczucie to, narazie tłumione, płynie gdzieś w okolicę sumienia, którego Kazimierz, człowiek dobry, ale przez autora w niedołęgię ukształtowany, nie miał chęci, siły, ani czasu — zburzyć. Dopiero gdy w poszukiwaniu żony, po całym miesiącu, przyjeżdża ze wsi mąż, p. Karol Rodecki i, podrażniony nerwowością Ireny, wyprawia jej scenę straszliwą, z za kotary wyskakując kochanek i już nie woła: „Czego ty chcesz odemnie? jak ty mnie męczysz? litości!“ itp. — ale, stając przeciw mężowi, żonę własną pierś zastawia.

Oczywiście, strzelać się będą. Karol, śmiertelnie raniony, ma jeszcze dużo czasu wejść na scenę.



nę, aby na potrzeby dramaturgii umrzeć. Ów lekarz idealista teraz dopiero dostaje zajęcie w sztuce, ale i to jeszcze tylko przy pomocy p. Narkiewicza. Spełnia się umieranie na scenie, robione przez p. Leszczyńskiego kunsztownie, a ze spokojem, przy podobnych ranach podobno przez wiedzę fizyologiczną zaleconym. Żona patrzy na skon meża, mąż pastwi się nad nią, Jadwiga przebacza Kazimierzowi, Kazimierz pozbywa się gorączki. Irena wreszcie dostanie hallucynacji i wśród epizodów mniej więcej potrzebnych i mniej więcej zajmujących — z trzeciego piętra oknem wyskoczy. Niczego więcej wymagać od niej nie można.

Zanim wyskoczyła, musiała wysłuchać nauk moralnych dobrego ducha sztuki, Jadwigi. Poczeiwe kobiecisko, niepamiętne krzywdy, odsłania przed nią pierwszą przyczynę owego skoku przez przepaść, który się na dnie przepaści zakończył „Tyś nigdy nie wzięła książki nabożnej do ręki, nigdy nie wzniosła serca i myśli do Boga“ — powiedział jej już przedtem dziadziś, ale obszerniej, dokumentniej brak religijności wykłada jej siostra mężowa. Wchodzi dziś w modę ta religijność. Bourget ją we Francji do swych studypowieści nie od dziś wprowadza, — bez wielkiego ognia, tak, oto, jak się może być gorącym, gdy się niema przekonań, jeno mniemania, gdy serce, nie kochając, ma jednak przed sobą coś, co mu się podoba. Prus za to uderzył w strunę szczeroci w *Emancypantce* (z jednej zrobiło się teraz więcej). Sienkiewicz znów teatralną pozą malowniczym obrazem, zastąpił tęsknotę i gniew idealizmu — bez którego do religii nie przystępuje. Są już dziś nowelki „z Bogiem“. Dlaczego-by i *Irena* nie miała się uszlachetnić połyskiem wzniosłości? Szkoda tylko, że na połysku wszystko się w niej kończy, że ani w autorze — o ile się nam piórem objawił, — ani w jego ludziach nie widać żywego pragnienia tego, czego brakło żonie p. Karola. Oba charaktery: Jadwigi i Ireny powinny być odpowiednio do nauk moralno-religijnych od początku ukształtowane i w atmosferze wszystkim wspólnej, w duchowym powietrzu sztuki powinniśmy odrazu czuć miazmat. A nade wszystko — to katechizowanie Ireny — jakie ono banalne, jak bez żadnego daru dyalektycznego przeprowadzone, jak nawet zbyt szybkie po samodzielnym przerzuceniu się Ireny od Belzebuba do Boga, „od krzyku o prawa namiętności do ascetycznego pojęcia się Naśladowaniem Chrystusa!

Autor nie umiał sobie radzić z Ireną nietylko pod tym jednym względem: cały charakter zbudował fałszywie. Na rezolutne jej postanowienie dane motywa psychologiczne nie wystarczają. Rzeczywista potrzeba wiarołomstwa nie powinna się osłaniać gburowatością lub opilstwem męża, tem mniej, że przeciwko jego pospolitości Irena żadnej własnej rzetelnej wyższości postawić nie może. Mąż mógł nieszkodliwie zresztą, kieliszek po kieliszku wychylać, mógł całować w przelocie, mógł nawet grubiańsko przemawiać, — a żona nie potrzebowała jeszcze kochać innego: mogła uciec, ale z dzieckiem, i nie do kochanka. I sama ucieczka jest zupełnie zbyt szybka: po pięciu latach, gdy się scen takich, jak wydzieranie klucza od szafy — widocznie p. Rodecki nie miał wina w piwnicy — przeżyło wiele, bardzo wiele, mogło się przeżyć i tę jedną. Obmyślona przez p. Graybnera ostatnia kropla do czary cierpliwości kobiecej jest wysoce niesceniczna, błahą i lichą, jakąś nieszlachetną. Dobrze byłoby te klucze w nowelce, ale są haniebne w sztuce dramatycznej. Od samego początku widać w robocie spacenie charakteru: zamiast uwydatnić w kobiecie nurtującego ją demona czy wibryona, bo to jej wróg, a nie mąż — p. Graybner zbywa dramaturgię fatalaszkami zewnętrznych niby — wypadków.

Zdawało się autorowi, że zrobi rzecz doskonale dramatyczną, jeśli użyje do niej jaknajwięcej takich zewnętrznych wydarzeń, jaknajmniej dyalogów, i objawy woli, uczucia, egoizmu i miłości, cały dośrodkowy i odśrodkowy ruch dusz, poprowadza do prostych wykrzykników, przyodziających w krótkie, ale silnie brzmiące zdania. Było to zupełne złudzenie: sztuka dramatyczna przez dyalog tylko żyje, bo fakta duchowe, jakich dla siebie do rdzenia swego potrzebuje, w dyalogach tylko, przez nie i z nich wykształca się mogą.

Jedno słowo powiedziane lub powstrzymane, rozstrzyga o postanowieniu woli, a wola tylko wprowadza los dla dramaturgii potrzebny i jedynie w niej uprawniony. Jak się w *Irenie* mocią ze sobą dusze, na które spadła klęska miłości? Czy nie przypadek tylko, nie krzyk wprowadza miłość wzajemną, ale niezgodną, na tor wspólnego losu, który zresztą trwałym nie będzie? Czy tak przemawia namiętność, czy tak się motywuje w chwili tragicznego wyboru? Samemi krzykami niczego się nie dokaże. Dramatowi p. Graybnera braknie zupełnie tego, co się „psychologią“ nazywa.

P. Leszczyński dobrze zagrał Rodeckiego. Znać było temperament silny, wybuchowy, w naturze powierzchownej, zmysłowej, ale jasnej i ostatecznej, w potocznym znaczeniu, dobrej. Artysta miał i ożywienie i swobodę; miarkował się, nie przesadzał, nie wiał postaci, ostatecznie lekkiej i płytkiej, ani niemrawo, ani nadmiarę poważnie. P. Marcello do krzyków autorskich dodała swoje własne. Dawno już nie widziałem sztuki, w którejby tyle robiono hałasu. Od końca I aktu nie, tylko krzyki. P. Fedorowiczowa jako Jadwiga była dość bezduszną; głos słaby, wystawienie mdłe: to nie spokój i siła duszy czystej i zdrowej, ale niemoc. P. Ładnowski nie miał jakoś szczęścia do roli, a raczej rola do niego. Słuchało się i patrzyło — nie bez przykrości. P. Barszczewska zadawała miłą zupełnie swoją Lucyną. Mały dziadzio Hieronim znów udał się p. Wojdałowiczowi. P. Prażmowski był trochę zaokościstym idealistą. P. Wolski nie miał do zrobienia nic: nie-by go też nie kosztowało pogłębienie charakterystyki takiego salonowego i niesalonowego myśliwca, jak Adolf.

Stanisław Krzemiński.

## ŻYCIE WE DWOJE.

(Dokończenie).

Drobiazgowość stanowi jedną z tych wad kobiecy zadowolnionej, która bardzo silnie na to wpływa, że mąż nudzi się w towarzystwie żony, że mało czasu z nią przebywa i wymyka się z domu o ile może, a ona przejęta żalem oskarża go o obojętność, o zmianę uczuć. Każda istota ludzka potrzebuje podziału, wymiany myśli, a skoro kobieta zatopi się całkowicie w maluczkich interessach, w maluczkich sprawach powszedniego życia i mąż o nich tylko od niej słyszy, znudzony szuka innego towarzystwa a ona biedna uważa się za opuszczoną i goręczy, zaturwając jej serce, czyni ją cierpką i coraz to mniej przyjemną w pożyciu domowym, więc szczęście obojga przepada. Żona inteligentnego męża inteligentną być potrzebuje i nie mylił się Heine pisząc: „Nie ma nie przykrzejszego dla wykształconego, myślącego człowieka nad pożycie z kobietą ograniczoną. Doznaje on wtedy nieustannie nieokreślonej, choć prawdziwej przykrości, podobnej temu jaką sprawia widok stojącego zegara“.

Następstwa takiego życia znają wszyscy. Mąż i żona oddalają się coraz to więcej od siebie, cierpiąc na tem zarówno i autor przytacza przenikający obraz takiego stanu, skreślony piórem jednego z najznakomitszych myślicieli nowożytnych, Jana Pawła Rychtera. Przecież i kobieta zanadto światowa nie jest, nie może być również żoną dobrą, bo zbyt zajęta rozrywkami, strojami, nie ma czasu i dostatecznej swobody umysłu, aby skierowała myśl troskliwą na rodzinę, na męża, a brak jej też do tego i chęci dobrej. Są też i leniwe, apatyczne, których nie nie obchodzi, nie nie wzrusza i tylko kobieta, pojmująca znaczenie posłannictwa swego w rodzinie, może uszczęśliwiać męża i sama być szczęśliwą.

Myśliciel angielski Stendhal, rozpatrując się w tych stosunkach dochodzi do przekonania, że

„nie ma nigdy szczęścia bez pracy“ i dla tego najszczęśliwszą jest ta kobieta średnio zamożna, która przez wzgląd na dobro rodziny pracuje: obszywa dzieci, zajmuje się zarządaniem domu. Praca dla fantazyi: hafty, wyrabianie eleganczyk przedmiotów ozdoby, to wprowadza jest niejakiem zajęciem czasu, stąd już dobrem, że nudy odpędza i po za rodzinne koło nie wyciąga, ale nie może nazwać się pracą i nie daje też jej moralnych i materyalnych korzyści. Kobieta może mieć zawsze wśród rodziny dość zajęcia jako gospodyni, jako wychowawczyni dzieci, ale trzeba jej się do tego rozumnie, z poważną myślą przyłożyć — umieć być rzadczynią, panią swego domu. Wtedy zadowolona z siebie i w zgodzie z sumieniem, bo z obowiązkami swemi, wszystkimu zadość uczyni. Autor daje tu słusznie miejsce i stosunkowi jej do służących; rozsądna, umiejąca postępować z taktem a zarazem z tą wyrozumiałością potrzebną we wszystkich stosunkach ludzkich, mieć będzie mniej więcej zawsze służących dobrych, co potwierdza się wszędzie i we wszystkich krajach. Trzeba jej przecież na to być nietylko wyrozumiałą, ale i znającą się na rzeczy; dobra gospodyni wie czego może od kogo żądać i wskutek tego nigdy niesprawiedliwą nie jest, a służący widząc ją przykładającą się szczerze do pracy, wzór sobie z niej biorą i umoralniają się mimowolnie.

Szerokie też jest choć na pozór do niewielkich rozmiarów ograniczone pole jej działalności, daje już jej zetknięcie się z ludem, a wśród służby spotyka się często z takimi, którzy szukając zarobku na kawałek chleba biorą się do pracy nieprzygotowani do niej dostatecznie, lecz od czego jest serce kobiety? Dobra pani uwzględnić to łaskawie powinna, a gdy się doda obok trudów takiej gospodyni domu obowiązki wychowania macierzyńskiego, spostrzeżemy że pracowite to jest domowe życie kobiety żony, matki, gospodyni i „życie we dwoje“ występuje jako ważna część składowej pracy na gruncie społecznym ludzkości. Dobra żona stoi tu na przodzie, bo wszystko dalsze za tem idzie, przecież często, a nawet zwykle jest ona u początków swego zawodu młodą, niedostatecznie z życiem obeznaną, niedoświadczoną, ale od czegoż jest miłość, to uczucie słodkie a wielkiego w istnieniu jej znaczenia? — Miłość wszystko chce, miłość wszystko może!.. woła Ewangelista i tak jest w życiu, Gasseron przytacza też liczne zdania poważnych myślicieli, którzy zastanawiali się nad tym przedmiotem a między nimi Lubbocka, który w dziele swym „Rozkosze życia“ wykazuje ile szczęścia mogłoby ubłogosławić życie ludzkie, gdybyśmy z danych jego korzystać umieli. „Szczęście może iść tylko w parze z rozsądkiem, jeżeli miłość ma być trwałą“ dowodzi Michelet i jest to niezbitą prawdą w zakresie domowych stosunków życia we dwoje.

Posiadamy nierozsądne przysłowie, że kto się kocha, ten się kłóci, bo miłość w podstawowych swoich przedmiotach już stosunek taki wyklucza, a w każdym razie szczęście życia polega na pogodzie, łagodnym, słodkim stanie uczuć tych dwojga ludzi, którzy złączonymi są ze sobą aż do śmierci. Tam nawet gdzie już miłości nie ma, gdzie nastąpiło bolesne rozczarowanie, zwłaszcza jeżeli ślepy Amor przewodniczył tu związkowi, godność osobista powinna najmniej stanąć teraz do pomocy, aby smutna tajemnica nieszczęśliwego życia małżonków nie wyszła na wierzch, a szczególnie gdy są dzieci, bo wtedy serca młode psują się, uczucie miłości dla rodziców już nie obejmuje ich obojga jednakowo i jakże smutny, pesymistyczny pogląd na życie może się w nich wytworzyć, przepadają też dla nich te podstawowe warunki szczęścia o jakie woła Żmichowska: „Kochać, wierzyć, czuć bez miary...“

Poetka dodaje: „Ludzie! ludzie wy nie wiecie, że to szczęście na tym świecie“, a Tennyson twierdzi, iż żona powinna być dla męża tem, czem jest muzyka doskonale przystosowana do słów pieśni, lecz dodaje, że z natury rzeczy mąż powinien tu rozkazywać, żona słuchać. Wpra-



wdzie ze względu na większą wiedzę życia, zatem przez zdobyte doświadczenie większe mąż powinien dać kierunek układowi życia rodziny, ale jest i pole takie, gdzie kobieta może i powinna działać przeważnie. Przyznano jej nazwę kapłanki domowego ogniska, aby miała tu w opiece i pod nadzorem swoim iskrę, mającą się stać ciepłem, przy którym ogrzewało by się dziecko rosnące do życia, odpoczywał mąż, ciężarami życia tego strudzony. Doskonałość nie jest przecież udziałem ludzi i mąż ten, nawet najlepszy, ma i mieć musi pewne wady, pewne braki moralne, żonie należy to rozumieć i uwzględnić, przystosować się do tego. I ona podlega również temu prawu ułomności ludzkiej, więc potrzebuje także, aby niejedno było jej przebaczeniem i wzajemne ustępstwa są w małżeństwie koniecznością, bez których nie będzie tu ani szczęścia, ani obowiązku spełnionego. Miłość, jeżeli jest prawdziwa, dopomoże jej do tego, a mąż przez wdzięczność silniej kochać ją będzie i co więcej, łatwiej się poprawi z przywar, usterków swoich i nie ujawnia się przed oczyma dzieci wady rodziców, których poznanie staje się zawsze wielką szkodą dla wpływów wychowania.

Łączenie miłości z ideałem doskonałości moralnej jest podstawą nie tylko szczęścia, ale i godności, dostojności człowieka. Kto kocha nie szanując, już cnotę cież i za wysokie dobro ludzkości uznawać przestaje, nie go zatem nie broni od przestępstwa, chyba bojaźń kary, utrata dobrego imienia. Wielki to jest skarb niewątpliwie szacunek ludzki, przechodzi on spadkiem z rodziców na dzieci i równa im drogi życia, ale człowiek każdy na własny rachunek zdobywać go sobie musi. Gausseron każe też pilnie baczyć, aby lekkomyślnie utraconym nie został, każe już matkom pojęcie jego drogocЕННОści w umyśle dzieci zaszczipiać a do podstaw na których się opierać potrzebuje, należy w części bardzo znacznej rzetelność. Słowa danego dotrzymywać, zobowiązaniom przyjętem zadość czynić, to grunt, do czego potrzebnem jest nie tylko poczucie uczciwości, ale i taki kierunek dany życiu, aby rzecz była możliwą. Kto się nie umie ze środkami posiadania rachować, nieraz znaleźć się może w położeniu, które cień czarny na niego rzuci, a ileż to razy niebaczność lekkomyślna jest powodem, że się tak staje i autor zwraca się tu do kobiety.

Młoda ostrzegła przed lekkomyślnością, starszej każe strzedz w sobie ciepła uczuć i wola: „Gdy włos męża twego zbieleje od trosk życia, gdy głębokie brózdki zorają mu czoło, ty podaj mu na pokrzepienie stare wspomnienia przeszłości i przechowane w sercu uczucie. Kochać i w ukochanego człowieka wierzyć, oto najskuteczniejszy środek, aby życie we dwoje stało się szczęściem — cichem, spokojnem a przecież wielkiem bardzo, ale ziemią, na której żyjemy, to grunt twardy, trzeba też orać go w pocie czoła, i autor przypomina o tych materialnych środkach istnienia człowieka, które w stosunku do zabezpieczenia sobie bytu nazywa *nervus rerum* to jest sprężyną rzeczy. Materialna strona życia łączy się ściśle z moralną, jest to podkład, grunt, na którym budować się i osiadać musimy, zależność ta zmusza nas też do zabezpieczenia sobie środków utrzymania i jest przez to już i jest przez to już powinnością abyśmy przy leniwem ręk założeniu nie ciężyli innym. Ludzi takich nazywają darmozjadami, ale można być darmozjadem na różny sposób. Kto korzystając z promieni oświaty, ze środków cywilizacji nie przykładą się w życiu niczem do rozjaśnienia pojęć człowieka o posłannictwie jego w tym kierunku, nie oddaje tego innym, co sam otrzymał, i według słów Ewangelii chowa światło pod korzec, jest darmozjadem chleba anielskiego.

W małżeństwie należy się ludziom szczególnie dzielić chlebem owym, zacząć przyjdzie i zgodność pojęć o życiu, więc szczęście i dokładniejsze, pełniejsze obowiązków swoich spełnienie. Rozumna żona wiedzieć też będzie i pojmować ten ze sobą związek rzeczy, który jej wykaże jak wielkie łączy się tu nicią ukrytą z małym, a nie

będąc płochą nie stanie się z kolei rozrzućną, mienia rodziny pilnować będzie jako środków istnienia rodziny tej podtrzymujących, co już Arystoteles zaliczał do obowiązków kobiety, a snąć nie mała to jest rzeczą, skoro filozofowie, mędrzy wielkiego umysłu brali ją w rachunek gospodarstwa narodów, ich ekonomii społecznej, i autor przedstawia sposoby jak kobiecie rządzić się tu i działać należy, wchodząc w drobne nawet szczegóły, bo z nich to składa się całość wszelkiej rzeczy wielkiej. Czytelnikowi zdawać się nieraz może, że jest on drobiazgowym, ale za to praktycznym nie przestaje być nigdy, więc użytecznym, ponieważ zwraca zawsze uwagę na te strony rzeczy drobne, z których tworzą się wielkie.

Przecież stawia on z kolei kobietę na życia gruncie szerszym i przytacza rozumne zdanie M-me de Rémusat, która radzi, aby żona nie ograniczała się wyłącznie do zadań życia użytkowych i w rozmowach wiedzionych z mężem ukazywała mu strony umysłu swego wyższe. Pewna niezawisłość zdania jest jej potrzebną, bo inaczej nie byłaby zdolna spełniać dobrze obowiązków swoich tak matki, jak i pań domu.

Ma ona daną tu sobie rolę jedną jeszcze: wieszczki domowego ogniska. Nie jeden myśliciel patrzący na świat i życie z podniosłego stanowiska, wyrażał się z gorczyżą o kobietach, nie może to przecież przechylić wagi na stronę nieprzychylną dla niej sądu. Milton, Sokrates byli nieszczęśliwymi w małżeństwie, czy przecież nie było to ich winą, że nie umieli wybierać i dopełnili tę okrutną omyłkę, że na towarzyszkę ludzi wzniosłego ducha wybierali poziome, zrozumieć ich niezdolne kobiety? Angielski poeta Pope woła, że „wielkim skarbem męża jest rozsądek żony, przez który zażegnać ona umie burze domowe“. A Fenelon jakże wdzięcznymi farbami maluje szczęście domowe tam, gdzie żona zawsze czynna i pogodna, pracowita, wstaje rano, aby się nie rozpieścić wygodą, nie poddać lenistwu ubezwładniającemu energię. Kobieta z poetycznego piękna poczuć najprostszym nawet sprzętem, najpospolitsze przedmioty potrafi odziać urokiem poetycznego wdzięku, który świadczy, iż mieszka tu szczęście dwóch kochających się serc — dwóch istot węzłem prawa miłości związanych. W takich warunkach dom ubogiego wyrobnika mieści skarby, czarny chleb razowy słodkim się staje, gdy dzieli go z drogą mu życia towarzyszką.

Fenelon dostrzegł, iż piękność kobiety czyniącą ją często dumną z tej urody swojej tak nie przyczynia się bynajmniej do szczęścia jej życia, jak ta piękna nie zawsze umie je zapewnić tym, dla których czynić to powinna. Gausseron dodaje też, że „wdziek miły, zdrowie czerstwe, dobroć, pogoda umysłu, inteligencja i zamiłowanie pracy czynią kobietę szczęściem męża. dobrą wieszczką domowego ogniska i zapewniają jej obok szacunku ludzi niedzielone z nikim panowanie nad jego sercem“.

Angielska autorka, Emma Marshall, zaleca gospodyni domu, aby umiała być dostojną w postępkach, czynach najpowszedniejszych i z wyższego punktu życia patrzącą na jego sprawy, bo wtedy tylko z godnością i umiarkowaniem zdoła pokonać różne drobne przeciwności życia, nie udręczając skargami, żalami na nie tak siebie, jak i męża. Szlachetnego, wielkiego serca francuzka, M-me Roland, zostawiła po sobie w jednym z listów swoich świadectwo, jak ta bohaterskiego ducha kobieta umiała być u domowego ogniska nie tylko małżonką i matką najlepszą, ale i dobrą domu swego gospodynią. Gausseron we wspomnianym wyżej rozdziale „Wieszczka domowego ogniska“, zamieszcza pytanie rozmownego, uczonego kapłana, biskupa Landriot: „Jak daje się poznać kobiecie silnego ducha?“ — „To ta jest — brzmi odpowiedź — która nie ugina się pod ciężarem kłopotów, przykrości domowych, sprawiających jej nieraz ból taki, jak złośliwe ukłucie komarów. Kobieta silna, spokojnie, rozsądnie, bez zachwiania się w obowiązkach swoich zarządza domem i pracując jako gospodyni, nie zaniedbuje wychowania dzieci, nie zapomina nigdy o tych nie-

uchwytnych na pierwszy rzut oka szczegółach życia, które stanowią o spokoju i dobrobycie życia rodziny. Kobiety silnej nie złamie też nieszczęście, nie przygniotą ciężary pracy i straty materialne, złośliwość ludzka, stoi więc wśród burz, gromów życia, oparta na opoce wiary, miłości, nadziei, jak ta latarnia morska na szczycie wysokim, której blaski ukazują kierunek drogi dobrej nieszczęśliwym rozbitkom“.

Tak pojęte życie we dwoje to szczęście, to droga wiodąca do zasługi przed Bogiem i ludźmi, dobrym też nabytkiem dla literatury naszej w zakresie etyki rodzin jest jej przekład i wydanie, bogdaj by też znalazła się w każdym domu naszym, gdzie żona i matka pragnie wywiązać się dobrze z obowiązków swoich.

M. Ilnicka.

## Z bieżącej chwili.

— Otwartą została w Petersburgu d. 14-go bieżącego miesiąca międzynarodowa wystawa maszyn i narzędzi służących do oczyszczania i sortowania nasion.

— Pod przewodnictwem ministra dóbr państwa rozpoczęły się w Petersburgu odrady, nad środkami wyniszczenia owadów szkodliwych zbożu. Ministerium zatwierdziło w tych czasach dalsze prowadzenie robót w celu zadrzewienia gór Teodozyjskich. Na wydatki początkowe przeznaczono 40.000 rs.

— Według dzienników petersburskich ogłoszonym zostało prawo, przysługujące ministrowi skarbu co do zmiany w miejskich towarzystwach kredytowych ogólnych zgromadzeń członków na zgromadzenia pełnomocników i porządku zmiany takiej w towarzystwach wzajemnego kredytu.

— Wystawa Rolnicza w Kijowie, otwartą będzie d. 13-go Lipca z trwaniem do 13-go Października.

— Granice Warszawy zostaną rozszerzone. Stare wały, wznoszące się na polach grochowskich, posunięte będą ku Pradze, broniąc doń swobodnego przystępu między nowo wzniesionymi rogatkami przy skrzyżowaniu się plantu kolei nadwiślańskiej z terespolską, oraz z rogatkami kawęczynskimi w końcu przedmieścia Kamionki na drodze do wsi Kawęczyna i nowych rogatki grochowskich po przeniesieniu ich z Pragi pod Grochów Wielki.

— Roboty koło dalszej budowy kościoła Ś-go Augustyna przy ulicy Dzielnej, rozpoczyna się wkrótce przy zwiększonej liczbie robotników, a to w celu przyspieszenia budowy wieży, oraz sklepienia nawy głównej i bocznych. Do budowni tej użyty będzie pierwszy raz w Warszawie kamień śmielowski; pokrycie dachu dokona się jednocześnie z budową wieży.

— W Schronieniu dla paralityków i chorych nieuleczalnie imienia Felixa Sobańskiego, mieściło się w roku ubiegłym 118 osób. Z tej liczby pozostało na r. 1894 osób 89.

— Do zapisu na kolonie letnie zgłosiło się już 2.733 dzieci. Od dobroczynności mieszkańców naszego miasta, oraz ziemian dzieci te przyjmujących, zależyć musi ile ich będzie mogło odetchnąć świeżem wsi powietrzem.

— Piąty z kolei odczyt na dochód Osad Rolnych wygłosił Dr Władysław Oltuszewski z tematu: „Psychologia i patologia mowy.“ Prelegent przedstawił fizyologiczną funkcję mózgu przy wygłaszaniu mowy, oraz wykazał charakter ważniejszych tu zboczeń.



— Wystawa dzieł pędzla Matejki mniej znanych, bo mieszczących się w jego pracowni, które zatem oglądać mogły jedynie osoby należące do koła jego bliższych znajomych, urządzona w Salonie Artystycznym ściąga licznie publiczność. Osem szkiców już zostało kupionych i zgłaszają się jeszcze nabywcy o inne. Wystawę obrazów Felixa Cichockiego w Salonie Krywulta zwiedziło blisko 3.000 osób, kilka obrazów znalazło już nabywców. Wystawa portretów Maurycego Trębacz, zostanie wkrótce otwartą w lokalu Towarz. Sztuk Pięknych.

— Na ręce komitetu Tow. Sz. Pięknych złożony został przez p. Stanisława Pieńkowskiego wniosek, który w moc ustawy tegoż Towarzystwa, żąda zwrócenia uwagi na rozwój literatury w zakresie sztuk plastycznych — żąda aby się to stało przez ogłaszanie od czasu do czasu konkursów na odpowiednie dzieła (oryginalne) i rozpowszechnianie następnie tych dzieł, oraz przez założenie w Warszawie i popieranie czasopisma poświęconego sztuce, a dodać tu można w nawiasie, że Towarzystwo Muzyczne organ taki posiada.

— Album rzemieślnicze ma być wkrótce wydane, mieszcząc w kopiach wykonanych przez światłodruk okazy wszelkiego rodzaju przedmiotów w danym zakresie. Ze znajdują się tu odbicia i wyrobów dawnych przemysłu rzemieślniczego: tokarstwa, stolarstwa, bronzownictwa, złotnictwa, wystawa budzić będzie interes wyższy w zakresie archeologii.

— Komitet i zarząd kasy przemysłowców pragnąc uczcić zasługi jednego z pośród jej założycieli i kierowników, p. Ludwika Spiesza, złożył się na wytworzenie wieczystego funduszu jego imienia, z celem udzielania z odsetków zapomogi potrzebującym tego rzemieślnikom. Kasa liczyła w końcu 1892 r. 1.297 rs., w roku ubiegłym, 1893, przybyło tu 296 rs., czterem niezamożnym rzemieślnikom dano 60 rs. Na rok bieżący fundusz ten przedstawia w listach zastawnych ziemskich, z procentem 4½, wraz z gotowizną 1.335 rubli.

— W Łowiczu ma powstać Tow. Muzyczno-deklamacyjne na wzór takich towarzystw w Kaliszu i Kielcach. Wpisowe ma wynosić 5 rs., opłata miesięczna nie całe pół rubla. Już 56 osób zadeklarowało przystąpienie do Towarzystwa.

— Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszła w Krakowie zajmująca książka: „Flora w Panu Tadeuszu”. Poemat ten był już niejednokrotnie przedmiotem studyów w zakresie estetycznym i etycznym; Stanisław Witkiewicz napisał studium o kolorystyce w Panu Tadeuszu, K. Łapczyński zregistrował florę tego poematu i wykazał, że choć akcja rozgrywa się na przestrzeni zaledwie mil kilku, w kraju posuniętym na północ, mieści w opisach swoich roślin 89, a wśród nich 50, którym natura jest ogrodniczką, gdy w Odyssei Homera w której akcja obejmuje przestrzeń od Azji Mniejszej do Sycylii znajdujemy wzmiankę o 32 roślinach. Autor przytoczył w książce swojej wszystkie ustępy tego poematu, gdzie wzmiankowane są rośliny, zamieszczając obok nazw polskich łacińskie.

— Spór graniczny o Morskie Oko między Galicyą a Węgrami ma być wkrótce rozstrzygnięty. Lwowski wydział krajowy polecił D-rowi Czołowskiemu przedstawić wszystkie potrzebne tu dowody, oraz studium, które w celu tym opracował. Jest ono napisane gruntownie i rozjaśnia najzupełniej bezpodstawność żądania strony przeciwnej, a obok tego posiada ogólnohistoryczne znaczenie.

— Towarzystwo artystów wiedeńskich grupujące się w Künstlerhausie, zostało zawezwanem przez ministra handlu, ażeby wydelegowało swego rzeczoznawcę do komisji budowlanej miejskiej większego znaczenia, a to w celu rozpatrywania ich pod względem estetycznym.

— Galicyjskie Towarzystwo oficyalistów prywatnych zapragnęło założyć bursę dla synów tychże oficyalistów, na który to cel hr. Borkowski złożył 2.000 zł. reń., prezesem Towarzystwa jest hr. Stefan Zamojski, vice-prezesem Franciszek Szczerbiński. Towarzystwo liczy 2.342 członków i uczestników, posiadających 10.292 udziałów i wnoszących składki rocznej na fundusz dyspozycyjny 41.168 zł. reń. Na zapomogi stałe wydano w roku zeszłym 44.311 zł. reń., na jednorazowe 952 zł. reń., obdzielając niemi 596 osób. Ogólny majątek Towarzystwa wynosi 583.615 zł. reń.

— Umarł we Lwowie człowiek wyższej zasługi na polu sztuki i archeologii, Józef Lępkowski, znany i ceniony po za społeczeństwem dla spełnionych prac naukowych. Urodzony i zamieszkały w Krakowie, tam brał światło nauki w liceum i na uniwersytecie jagiellońskim. W 1850 r. został członkiem komisji archeologicznej; odbywając podróż po kraju i zagranicą: we Francji, Niemczech, wiedzę swoją rozszerzył i w 1863 roku otrzymał stopień doktora sztuki średniowiecznej, oraz archeologii. Wkrótce potem założył przy uniwersytecie gabinet archeologiczny, w 1875 r. został dziekanem wydziału, w 1886 r. rektorem. Od 1866 do 1884 r. należał do zarządu muzeum i biblioteki Czartoryskich, wykładając od 1881 r. historię sztuki i w szkole sztuk pięknych. Zawsze czynny członek akademii w Peszcie, oraz towarzystw archeologicznych i naukowych w Wiedniu, Wrocławiu, Poznaniu, Królewcu, w Pradze, prowadził do końca żywot czynny, siłą zamięłowania do pracy swojej krępując się w pracy, zamknął oczy w sześćdziesiątym siódmym roku życia.

— Jeden z najstarszych pisarzy Morawskich, Antoni Kozala, umarł w początkach bieżącego roku, zostawiając po sobie żal wielki w społeczeństwie swoim. Urodzony w 1815 r., z rodziny ziemian-

skiej, był z woli rodziców przeznaczony na marynarza, ale usposobienie jego umysłu pociągało go w inną stronę i został księdzem, oddając się obok pracy duchownego, literaturze. Zostawszy proboszczem przebywał lat kilkanaście na wysepce dalmackiej Łopudzie i tu talent jego rozwinął się i dojrzał. Pierwsze dwa poematy: „Złotka”, „Grebnik”, zyskały mu uznanie i pozostaną na zawsze w literaturze tego słowiańskiego ludu, który w nim cenił nie tylko pisarza ale i człowieka. Pisał i powieści, ale poezja była jego głównym natchnieniem, zostawił po sobie obok własnych poematów, wiele przekładów z angielskiego, niemieckiego i greckiego. Był to dobry obywatel, gorącego serca i uczucie stanowiło u niego siłę natchnienia. Czesi żądają od literatów swoich, aby prace jego zostały przetłumaczone i weszły w skład literatury słowiańskiej.

— Malarz Ajdukiewicz został zaproszony do Konstantynopola przez sułtana, który zapragnął poznać kilka jego obrazów z epoki jego działalności artystycznej w czasach ostatnich. Udzieliwszy mu order Medżidzie, zamówił u artysty kilka obrazów, między którymi ma się mieścić wyruszenie karawany z Ildyż Kiosku do Mekki i rewja wojska otomańskiego. oba obrazy ogromnych rozmiarów, a malowane być muszą na miejscu.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy” dołącza się: Tom II, ark. 9-ty powieści pod tytułem: **Z biegiem fal**, przez M. Braddon, przekład z angielskiego.

## OD WYDAWCY.

„Bluszczy” w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

**TREŚĆ:** Na Campo Santo Nuovo w Medyolanie, przez Antoniego Pileckiego.—Pogawędka, przez ??—O prawdziwym wykształceniu, przez Wł. M. Kozłowskiego (dokończenie).—Pierwszy występ nowella Sewera (dalszy ciąg).—Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego.—Życie we dwoje, przez M. Ilnicką. — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 9-ty T. II, **Z biegiem fal**, powieść, przez M. Braddon.—Przegląd mód.—45 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.